

Grzegorz Walczak
(Warszawa,
e-mail: grzegorz.walczak@op.pl)

LUF CIK JĘZYKOZNAWCZY 1 – ALBO WRÓBLICA¹

Tym tekstem otwieram LUF CIK JĘZYKOZNAWCZY – nowy kącik w swoich wielogatunkowych występach na FB. Proponuję co pewien czas wspólne przyglądanie się aktualnym zjawiskom językowym, kontrowersyjnym tendencjom, błędnym użyciom leksykalnym, gramatycznym, stylistycznym. Podchodzić do tego będziemy czasem z przymrużeniem oka, a czasem śmiertelnie poważnie. Pretekstem do otworzenia językowego okienka stał się dla mnie następujący nocny dialog, który prowadziłem na Facebooku z moją była studentką:

Elżbieta Olejnik (absolwentka Wydziału Polonistyki UW)

„A niebo zostawmy im – Aniołom oraz wróblom” [H. Heine].

Grzegorz Walczak: Wolę wróble. 😊

Elżbieta Olejnik: Wróbelek jest mała ptaszyna.

Grzegorz Walczak: A anioł to duży wróbel.

Elżbieta Olejnik: Albo wróbllica.

Grzegorz Walczak: Jako niegdysiejszy (emerytowany) językoznawca nie mogę się zgodzić na zaniechanie właściwego rozumienia pojęć zbiorów i zakres, od lat funkcjonujących w logice i w językoznawstwie. Nie zachwyca mnie też to feministyczne, sztuczne dodawanie nazw żeńskich do nazw nadrzędnych (gatunkowych), które już swoim zakresem obejmują zbiór tak osobników rodzaju męskiego, jak i żeńskiego. Szanuję tendencje emancypacyjne i prawa kobiet, ale dla mnie w kwestiach języka ważniejsza jest poprawność językowa niż polityczna. Ta serio przedmowa oczywiście nie odnosi się do Pani, która raczy sobie żartować, tylko do współczesnych zjawisk lingwistycznych. Z drugiej strony zdaję sobie sprawę z tego, że język jest nie tylko systemem, jak to widzą strukturaliści, ale – jak chciałby profesor Witold Doroszewski – procesem, czyli podlega nieustającym zmianom, których – gdy się użytkownicy danego języka uprą, nic nie zatrzyma (tak zwany uzus językowy).

¹ W poprzednim (5.) zeszycie „Poradnika Językowego” przedstawiliśmy, w rubryce *Słowa i słowa*, krótką historię feminatywów w języku polskim; w tym miejscu zamieszczamy głos w dyskusji (fragment dyskursu publicznego) na ten temat. *Red.*

Elżbieta Olejnik: Jestem tego samego zdania. Formy żeńskie typu „ministra” wywołują u mnie szum w uszach, zawrót głowy i niestrawności, mimo że jestem bliska feministkom... niestety, język jest żywy i do pewnego stopnia tworzą go ignoranci...

Grzegorz Walczak: Oczywiście.

* * *

Przytoczony żart mojej byłej studentki (*albo wróblica*), który pojawił się we wczorajszej mojej mikrodyspucie na Facebooku z Panią Elżbietą, sprowokował mnie – byłego dręczyciela studentów Polonistyki UW, obsesjonisty syntaktologii w Instytucie Języka Polskiego – do podjęcia aktualnego tematu lingwistycznego, który wyraźnie wykracza poza ramy zjawisk językowych. Mam na myśli niezwykle dynamiczną i ekspansywną tendencję do podkreślania żeńskich form językowych w szerokim kontekście językowym dla wzmocnienia i podkreślenia społecznej i zawodowej roli kobiet w życiu publicznym. Odczuwana przez nie, jako przejaw ciągłego braku równouprawnienia, dyskryminująca kobiety tradycja językowa budzi szczególnie w ostatnich latach zdecydowany sprzeciw w pewnych kręgach środowiskowych. Wiele osób, zwłaszcza tzw. progresywnych kobiet, już od dłuższego czasu forsuje, jakby powiedzieli starzy językoznawcy (a może nie tylko starzy), użycie nazw żeńskich, redundantnych wobec nazw oznaczających nadrzędne, gatunkowe pojęcie, np. *lekarze (i lekarki), czytelnicy (i czytelniczki), Polacy (i Polki)*.

Zastanówmy się, czy do ogólnej nazwy **Polacy** sensowne jest dodawanie – **i Polki**. Nazwa *Polacy* zawiera w swym zakresie znaczeniowym Polaków obu płci, czyli tradycyjnie odnosi się i do mężczyzn, i do kobiet. To jednak niektórym kobietom dziś nie wystarcza i stosowanie w tego typu kontekstach tradycyjnych form tylko męskich traktowane jest jako dyskryminacyjne. Po wielu wiekach stosowania tego typu stabilnych reguł językowych dochodzi pod wpływem ruchów feministycznych do próby rewizji do niedawna niepodważalnych form systemu językowego. Naród wszystko może podważyć, również swój system językowy. Dla ideologicznych potrzeb emancypacyjnych może się zbuntować i zażądać rewolucyjnych zmian w samym języku. Dziś mamy do czynienia z taką tendencją. Warto się jednak zastanowić, czy jest to produktywne, czy systematyczna reduplikacja leksykalna – podwajanie szeregowych podmiotów lub dopełnień – właściwie zmienia istotę komunikacji, czy jest jedynie przesadnym, dla celów feministyczno-propagandowych, mnożeniem językowych bytów. Czy naprawdę nie wystarczy powiedzieć: *Wszyscy odczuwamy wielką wdzięczność dla lekarzy?* Musi być – *dla lekarzy i lekarek?* Przecież nazwa *lekarz / lekarze* to nazwa wykonywanego zawodu bez względu na to, czy wykonują go mężczyźni, czy kobiety. A w zdaniu – *Polacy to wielki naród* – czyżbyśmy mieli do czynienia z komunikatem, że tylko mężczyźni, którzy są Polakami, stanowią wielki naród? Czy rzeczywiście jest to sformułowanie nietaktowne wobec kobiet, a jedynie poprawne politycznie byłoby: *Polacy i Polki to wielki naród?* I czy tego typu konsekwentne egzekwowanie przedstawionych żądań w zakresie obyczaju językowego poprawi sytuację kobiet? Zawsze było wiadomo, że Polacy to zbiór tych, którzy należą do określonej nacji bez względu na płeć.

Podobnie w modnym niegdyś w komunistycznych kręgach, propagandowym zawołaniu: *Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!*, mimo lewicowych inklinacji nie przyszedłoby nikomu do głowy, by dodawać tu jeszcze odpowiednią formę żeńską. Dziś prawdopodobnie hasło to trzeba byłoby zmienić na: *Proletariusze i proletariuszki wszystkich krajów łączcie się!* Słynne hasło Władysława Gomułki: *Studenci do nauki, literaci do pióra!*, które pojawiło się na transparentie podczas wiecu w FSO na Żeraniu w marcu 1968 r., należałoby zmodyfikować na *Studenci i studentki do nauki, literaci i literatki do pióra!* A gdyby trzeba było konsekwentnie w preferowanej dziś formie powiedzieć o sukcesie Gomułki w czasie przeszłym, to zapewne zastosowalibyśmy taką formułkę: *Studenci zabrali się i studentki zabrały się do nauki, literaci zabrali się i literatki zabrały się do pióra. Bardzo się im to chwali. Zgroza!* I jeszcze znane zawołanie naszego ówczesnego wodza: *Usunąć z uczelni warcholów i awanturników!* Próbujmy dostosować je do naszej poprawnej nowożytności: *Usunąć z uczelni warcholów i warcholki, awanturników i awanturniczki, niechby sobie poszli i poszły precz!*, bo dlaczego mielibyśmy się zgodzić na wspólną formę męskoosobową w czasowniku *poszli*, skoro odnosi się ona i do mężczyzn, i do kobiet? Trzeba je przecież leksykalnie zdublować, by wszyscy mogli być usatysfakcjonowani.

O pełnym sukcesie nowej feministycznej tendencji można by mówić, gdyby tak pożądana dbałość o równouprawnienie odnalazła swoje konsekwentne odbicie w pełni form językowych, zatem również w rodzajowych formach czasowników w czasie przeszłym, zwłaszcza w liczbie mnogiej. Wiadomo, że w liczbie pojedynczej w oczywisty sposób mamy formy – *poszedł* : *poszła* : *poszło*, ale w liczbie mnogiej mamy już bardzo brzydkie rozróżnienie na kategorię żeńsko-rzeczową, czyli niemęskoosobową, w przeciwieństwie do męskoosobowej w (*poszli* : *poszły*). W jednym zbiorze mieszczą się ci, co tworzyli wszelkie prawa, również językowe – osoby rodzaju męskiego, czyli mężczyźni, w drugim rzeczy, zwierzęta i kobiety. Zastanawiam się, dlaczego feministki nie dostrzegły tej wielowiekowej zniewagi ukrytej w polskiej gramatyce. W tę niegodziwość należałoby uderzyć. Kpię sobie z lekka, oczywiście nie z kobiet, tylko z zapędów tych, którzy tak bez głębszej znajomości języka gotowi są w nim majstrować bez względu na destrukcyjne skutki dla tego języka. To jest – jak słusznie stwierdziła moja interlokutorka, pani Elżbieta – działanie ignorantów, którzy w każdej dziedzinie potrafią łatwo przemeblowywać i psuć wszelki system. Ich reduplikacyjne zapędy, które analizujemy w płaszczyźnie językowej, z całą pewnością kłóca się też z odwieczną, ogólną zasadą ekonomii językowej i z naturalną skłonnością do uproszczeń i skrótów myślowych. Biedny Władysław Gomułka, gdyby „się” chciał dziś rozwinąć w swych i tak diabelnie długich przemówieniach, musiałby zabrać się do jeszcze dłuższych wyliczanek z uwzględnieniem rodzajowej dystynkcji: *Górnicy i górniczki do kopalń, rolnicy i rolniczki do pługa, murarze i murarki do kielni, magistrzy i magisterki do nauki, nadleśnicy i nadleśniczki do lasu, premier i premierka do rządzenia, minister i ministra do bani, prezydent i prezydentka do domu, tokarz i tokarka, blacharz i blacharka...* sam już nie wiem, do czego, tym bardziej że *blacharka* i *tokarka* mogłyby się pomylić nam z narzędziami, przy których *owi* i *owe* pracują. A przede wszystkim należałoby zmienić kolejność: *owe* i *owi*, chociaż i tego już nie jestem pewien, bo w dobie równouprawnienia może

przepuszczanie przodem jejmości też jest dyshonorem. Pewnie się zapędziłem, bo ten przekłety gender uderzył mi do głowy.

W każdym razie – chociaż w rzeczywistości absolutnie jestem za równoprawnym traktowaniem kobiet, za przyznawaniem im i realizowaniem ich praw – taka nadgorliwość w dopisywaniu nazw żeńskich do nazw nadrzędnych (gatunkowych), jak np. nazwy narodowości, zawodów (w zakresie których w sposób oczywisty pozostają zbiory osobników obu płci), wydaje się zabiegiem bezpłodnym. Daje to też nudny efekt rozwlekłości i uporczywej powtarzalności w piętrzących się, równoległych wyliczankach (*piekarze i piekarki*), stosowanych do podkreślenia równej wartości, równej godności, równych praw kobiet i mężczyzn. Płaszczyzna realna i językowa (znakowa) nie są tak dosłownie do siebie dopasowane, funkcjonują nie w taki sam sposób. Naiwne przenoszenie w trybie jeden do jednego tych odmiennych planów może prowadzić czasem do śmieszności. Taki bywa skutek spełnienia żądań, by język wprost odzwierciedlał elementy naturalne, do których należy np. płeć człowieka. Język jest konwencjonalny, jest kwestią umowy podtrzymywanej przez wielowiekową tradycję, od której nie daje się tak nagle i radykalnie oderwać. To, że np. w języku polskim *drzewo* jest rodzaju nijakiego, a *rzeka* żeńskiego, nie wynika z ich natury, nie decydują o tym ich cechy naturalne. Nie było konieczności, by znalazły się w tej, a nie w innej klasie rodzajowej. Ich znaczenie, a także pewne zmiany znaczeniowe czy też fonetyczne, wynikają z długotrwałej historii ich funkcjonowania w danym języku. Profesor Witold Doroszewski niejednokrotnie podkreślał, że wyraz znaczy to, co znaczy, co wynika z jego historii, a nie tylko z opozycji względem innych wyrazów w synchronicznym systemie językowym (jak twierdzą językoznawcy strukturalni). Oczywiście język wciąż stopniowo się zmienia, ale nie rewolucyjnie. Gdyby tak było, że zmieniłyby się zbyt szybko, nagle – przestalibyśmy się rozumieć. Wprawdzie to nam jeszcze nie grozi, ale namawiałbym, żeby również z tą feministycznie tendencyjną modą językową nie przesadzać. Wystarczy, że już przesadziliśmy z nasyceniem polszczyzny wszędobylskim, nie tylko leksykalnym, angielskim nalotem. I jeszcze raz powtórzę – w językowych rozstrzygnięciach powinniśmy dbać nie o poprawność polityczną, lecz językową. O poprawność polityczną, o prawa, godność i realne wartości lepiej upominać się w realnym świecie niż po dyletancku przemeblowywać struktury utrwalonego w tysiącletniej praktyce systemu językowego.